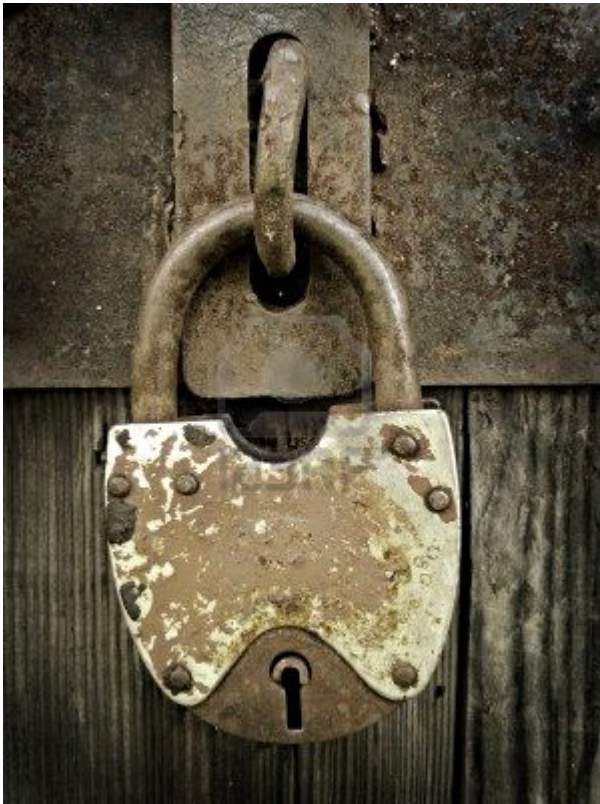


Tatuaż Belzebuba

Miłość matczyna jest miłością cierpliwą i pobłażliwą. Czy jednak bez końca?



Tatuaż Belzebuba

Malwin był dzieckiem narowistym i zbuntowanym. Miał co prawda surowego i krzepkiego ojca masarza, ale przecież zginął ów ojciec w zamachu bombowym na cukiernię oferującą pączki genetycznie modyfikowane.

Od trzech zatem lat Malwin miał tylko matkę, a matka miała aż Malwina.

Mając lat siedem, podpalił ten berbecz remizę w centrum miasta. Mając lat osiem, rozpylił cyklosarin w szpitalu zakonnicy Kapucynek Klauzurowych Jednobosych.

Ciężko było go z czynów urwisa wybronić, lecz nauczyć pokory i dyscypliny - znacznie trudniej.

Matka wzdychała, Malwin rósł.

W dniu dziewiątych urodzin chłopiec zawołał matkę do swego pokoju. Jego głos zabrzmiał znanym jej wyzwaniem - przypominał trochę histeryczny śpiew hieny nad padliną i było oczywiste, że syn znowu jakąś fanaberię lub psikus sobie umyślił.

Z bijącym sercem stanęła w drzwiach pokoju. Malwin tkwił w dziwnej przykurczonej pozie na środku, cały skryty pod kocem.

- Ostrzegam cię! - zagroziła drżącym głosem, gdyż gniew rósł w niej od lat i miłość poza serce i ciało z wolna wypierał.

- Tatuaż sobie zrobiłem - oznajmił Malwin głucho spod przykrycia.

Zakryła dłońmi twarz.

- Kłamiesz – wykrztusiła nieomal błagalnie.
- Ściągnij koc – nakazał syn surowym głosem.
- Malwin...
- Ściągnij koc.

Podeszła z ociąganiem i znieruchomiła z ręką wzniesioną nad dzieckiem.

- No dalej, do diabła Lucyfera! - warknął wściekle Malwin.

Z głuchym okrzykiem zerwała koc. I zamarła uderzona straszonym widokiem.

Jej dziewięcioletni syn, całkiem nagi, tkwił w osobliwych kuckach, z głową wygoloną i wciśniętą kurczowo pod splątane ramiona. Całe ciało pokrywał tatuaż, którego nie potrafiła pojąć oszołomionym rozumem. Pokrywały je idealnie odmalowane, szczelnie złożone deski, które składały się na... coś jakby... szopę na narzędzia, sposobną dla krasnali. Nawet okna pomiędzy deskami dostrzegła, i drzwi, a wciśnięta w ramiona głowa pozwalała uczynić zadziwiający efekt dachu wieńczącego dzieło.

Ktokolwiek tatuował jej syna, był mistrzem, może i samym Belzebubem – bo z odległości kilkunastu kroków chłopiec musiał przypominać bardziej szopę drewnianą niż istotę ludzką.

- O Boże... - wymamrotała, opuszczając ręce.

Syn poderwał głowę z chichotem szatańskim, po czym zawołał triumfalnie:

- A patrz na to, matko!

Malwin wyprostował się gwałtownie, co przydało niespodziewanego efektu wobec tatuażu, który okrywał całe ciało. Otóż deski rozpadły się nagle, jakby szopka została wysadzona w powietrze – co więcej, deski niektóre rozleciały się nawet w małe kawałki!...

Było to oczywiście złudzenie, bo rysunki wykonane na kończynach, karku i plecach nie mogły opuścić ciała. Ale kiedy ciało się rozkładało – wielki, pełnocelesny dom-tatuaż rozkładał się wraz z nim.

Nim porażona ową eksplozją syna-domku matka zdołała cokolwiek z siebie wydusić, jej syn znów zachichotał, po czym naprędce opadł w kucki.

Szopka wróciła do jednego kawałka. Znikły wszelkie pęknięcia między deskami.

Konstrukcja stała pewnie, idealnie, niczym samo dzieło da Vinci'ego.

To jest: Belzebuba, oczywiście.

I znów nie zdołała słowa wypowiedzieć, bo Malwin z chichotem godnym harpii wyskoczył w górę, a domek ponownie wybuchł w kawałki. Zaraz też wrócił do kucek i szopka się odbudowała. I znowu syn się poderwał, czyniąc wybuch. Robił to coraz szybciej i szybciej, aż deski zdawały się pod sufit ulatywać...

Lecz przecież zawsze wracały na swoje miejsce, gdy Malwin kucał, głowę kulił, ramiona węzowo splatał i szopką z drewna się stawał...

Aż wreszcie jako ta szopka raczył znieruchomieć, być może serią popisów-wybuchów znużony.

- Zrób mi zdjęcie!! - zażądał.

Matka drgnęła. Półprzytomnym wzrokiem przesuwiała po dachu...

- Zdjęcie!!

...ścianach, oknach...

- Won po aparat, wiédźmo!

...i drzwiach tak dokłádnie wyrysowanych, tak bardzo, bardzo dokłádnie...

- WON!!!

Matka zerwała sié i pędem zbiegła po schodach. Z góry dobiegały diabelskie ryki zniecierpliwionego dziecka.

Pół minuty później była już z powrotem. Stała nad czymś, co było ni to jej synem, ni to domkiem drewnianym.

- Aparat masz? - wycharczał Malwin, wciąż trzymający twarz pod ramionami.

Bez słowa pochyliła sié nad nim i namacała drzwi szopki.

- Co ty robisz? - wydusił z niepokojem. Zaczął podrywać głowę, podnosić sié cały - lecz nie zdążył.

Matka zatrzasnęła kłódkę na skoblu.

Malwin został uwięziony w szopie, którą był.

I w niej też wkrótce z głodu i pragnienia zmarł.

Autor: hussair

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl